



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Michał Sikora

Wojenna Gdynia

Dopóki na przedpolach miasta broniły się nasze oddziały, nie traciliśmy nadziei. Po zajęciu Gdyni przez wojska niemieckie zapanował powszechny strach. Strach ten z różnym natężeniem miał nam towarzyszyć przez całe długie lata wojny. Ale wtedy – w dniu 14-go września jeszcze tego nie wiedzieliśmy. Nie wiedzieliśmy jak długo potrwa wojna, kto będzie ostatecznym zwycięzcą, ani też czy ją przeżyjemy. Wszystko było niewiadomą. Pewny był tylko strach, którego ośrodek umiejscowił się na Kamiennej Górze przy ulicy Korzeniowskiego. Tu, w budynku biura Przedsiębiorstwa Żeglugowego „Polska-Rob”, zakwaterowało się Gestapo.

Już po kilku dniach hitlerowcy przystąpili do „oczyszczania” naszego miasta z „elementów niepożądaných”. Najpierw nastąpiły internowania, branie zakładników, selekcje mieszkańców – głównie mężczyzn. Pamiętam, jak niemieccy żołnierze popędzili gdzieś do miasta Tatę i Wujka Franka oraz płacz mamy i cioci Marty. My, dzieci, byliśmy całkowicie oszołomieni tempem wydarzeń i zupełnie pogubiliśmy się w zaistniałej sytuacji. Jedynie moja starsza siostra Wanda – wtedy już panienka – płakała jak dorośli.

Tata i Wujek po paru dniach wrócili do domu. Pomimo swojej dokładności hitlerowcy nie umieścili ich w ewidencji, chociaż pasowali do niej znakomicie: Tata jako powstaniec wielkopolski i śląski, a Wujek jako legionista. Nie wszyscy internowani, a szczególnie zakładnicy, mieli takie szczęście.

Wnet między dorosłymi zaczęły się jakieś trwożne szepty. Mówiono coś o obozie w Stutthofie i o lasach pod Piaśnicą, gdzie hitlerowcy masowo mordują. Od groźnych spraw dziejących się w tych miejscach dorośli starali się izolować dzieci. Rozmowy odbywały się po cichu, gdy się pojawialiśmy natychmiast zmieniano temat bądź przerywano dyskusje. Takie zachowanie bardzo nas intrygowało i rozbudzało ciekawość.

Tymczasem nazwę Gdynia zmieniono na Gotenhafen. Przemianowano też ulice i place. Dla nas jednak Gdynia pozostała Gdynią, Skwer Kościuszki był nadal Skwerem Kościuszki, a ul. Świętojańska nie nazywała się jakąś Adolf Hitler Strasse...

Niebawem hitlerowcy przystąpili do wysiedleń polskiej ludności z domów i mieszkań. Mieszkaliśmy na poddaszu, na odległym przedmieściu i nam to raczej nie groziło – tak mówił Tata. Na pierwszy ogień wysiedleń poszło Orłowo – teraz Adlershorst. W drugiej kolejności – śródmieście Gdyni. Następnie – wbrew przewidywaniom Taty – wyrzucono z mieszkań kilka rodzin z naszego osiedla. Zapanowała panika! Wysiedlano bowiem w nieznaną. Mówiono, że do Kongresówki, ale dla nas brzmiało to jak Syberia.

Pewnej nocy opuścili swój dom nasi sąsiedzi. Wyrzucono ich „przez płot” – jak mówiła mama. Sąsiad był mechanikiem okrętowym i wybudował zgrabny, chociaż nieduży domek. Teraz zajął go niemiecki Feldfelbel nazwiskiem Schulz. Później okazało się, że był całkiem porządnym Niemcem i nikogo się nie czepiał.

Z pobliskiego gospodarstwa rolnego – bo takie jeszcze w tym czasie istniały na przedmieściu Gdyni – usunięto całą kaszubską rodzinę, mieszkającą tu od wieków. Jej miejsce zajął Niemiec – Treuhändler. Mama mówiła, że to taki hitlerowski powiernik. Dlaczego wybrano właśnie to gospodarstwo na wysiedlenie – pozostało dla nas tajemnicą. W okolicy były przecież ładniejsze i bogatsze majątki. A może dlatego, że położone było nad potokiem, a nowy „pan” pragnął hodować kaczki i gęsi, które jak wiadomo lubią wodę...?

Nigdy nie było wiadomo, co Niemcom może „strzelić do głowy”. Na wszelki wypadek, niejako na zapas, baliśmy się tego wysiedlenia. Wieczorem, gdy Tata wracał z pracy, odbywały się szeptane, rodzinno-sąsiedzkie narady. Dzieleno się nowymi wiadomościami. Padały nazwiska kolejnych znajomych, których zmuszono do wyjazdu. Niektórym rodzinom dawano na spakowanie niezbędnych rzeczy tylko kilkanaście minut, przy czym nie wolno było zabierać żadnych mebli, a bagaż musiał mieć odpowiednio małą wagę.

Nadeszła pierwsza wojenna zima – straszna, głodna i bardzo mroźna! W tym czasie często chorowałem. Mama mówiła, że jestem zbyt wrażliwy i nerwowy. Chyba to była prawda. Obawiałem się wysiedlenia, głodu, że zabraknie nam opału, o Tatę – że go Niemcy wykończą. Chorując często przebywałem w łóżku, kryłem się więc pod pierzyną przed wszystkimi tymi strachami i niepokojami. Nie na wiele się to zdało, bo wpełzały wraz ze mną pod pierzynę i nie było sposobu, aby się ich pozbyć. Najbardziej ze wszystkiego bałem się Gestapo. Była to dla mnie tajemnicza, przeraźliwa i niezrozumiała nazwa – gorsza od diabła i śmierci.

Najdziwniejszy w tym wszystkim był fakt, że jak dotąd nie widziałem żadnego gestapowca. Spotykałem tylko (mówię o pierwszych miesiącach wojny i okupacji) niemieckich żołnierzy, czyli Wehrmacht, marynarzy – tych w Gdyni było najwięcej, policjantów w śmiesznych hełmach (nazywali się szupo i mieścili się niedaleko Cioci na ul. Portowej). Widywałem też SS-manów w czarnych i SA-manów w brunatnych mundurach.

Ze swoich strachów i wątpliwości zwierzałem się Tacie. Ten uspokoił mnie nieco, a przede wszystkim wyjaśnił tę dziwną nazwę „Gestapo”. Słowo to oznacza policjanta tajnego – czyli „geheim” – tłumaczył mi. Gestapo jest dlatego takie dla Polaków niebezpieczne, bo jest tajne – działa w ukryciu. Nigdy nie wiadomo, gdzie się taki tajniak kryje, kogo podgląda i podsłuchuje.

Po tym wyjaśnieniu zacząłem rozumieć, dlaczego dorośli tak często mówią szeptem. Widocznie boją się podsłuchu! Ale od tego też czasu strach bardziej rozbudzał moją wyobraźnię. Widziałem gestapowca za każdym drzewem, krzakami, płotem, a nawet w naszej szopce na opał i w piwnicy.

W zimie doszły do nas wieści z początku listopada. Niemcy rozstrzelali na Oksywiu dwóch chłopców, za to, że podnosili z ziemi polskie książki, a nieco później jeszcze dziesięciu – za rzekome wybitcie szyby w komisariacie policji. Opowiedziały nam o tych wydarzeniach siostry Taty, mieszkanki Oksywia. Były to więc wiadomości z pierwszej ręki. Ciotki znały nawet z nazwiska niektórych chłopców. Potwierdziły one moje przypuszczenia, że wszelkie zło w naszym mieście spływa z siedziby Gestapo – a więc z Kamiennej Góry. Gestapo zacząłem kojarzyć z piekłem, a jego szefa z Lucyferem. Jednego tylko nie mogłem pojąć – dlaczego piekło znalazło sobie siedzibę na górze, a nie gdzieś – jak mówiła siostra – w podziemiach. Ale widocznie od czasu wejścia hitlerowców do Polski i do Gdyni wszystko się pogmatwało i stało się inne.

I wtedy nagle i niespodziewanie doszedł kolejny powód do strachu. Otóż wybierałem się właśnie do szkoły – o której opowiem na dalszych stronach moich wspomnień – gdy w drzwiach pojawiła się jakaś ośnieżona męska postać przypominająca śnieżnego bałwana. Odezwała się znajomym głosem, w którym rozpoznałem młodszego brata mojego Taty – stryjka Janka. Uciekł z hitlerowskiego obozu i szukał u nas schronienia, bo do siebie, do Orłowa, bał się wracać. Mama zajęła się Strykiem serdecznie, a mnie pognęła do szkoły, chociaż wobec takiego wydarzenia niezbyt miałem na to ochotę.

Przy wyjściu mama rzuciła krótko – nikomu ani mru, mru! Wiedziałem o tym i bez tego – Gestapo przecież jest wszędzie i nie wolno mi niczego wypaplać! Tyle nauczyły mnie pierwsze miesiące okupacji.

Rodzice przyjęli Stryja „czym chata bogata”, ale wszyscy bardzo się baliśmy, że hitlerowcy szukając go trafią do naszego mieszkania i bezlitośnie nas ukarzą. Tymczasem mama podtykała uciekinierowi co lepsze kąski, chociaż sami niewiele mieliśmy jedzenia. On w zamian opowiadał o swoim pobycie w obozie, o strasznych warunkach jakie tam panują i o swojej brawurowej ucieczce. Było to przerażające, aż niewiarygodne.

W czasie całego pobytu Stryjka u nas musieliśmy zachowywać się „normalnie”, aby nie wzbudzać najmniejszych podejrzeń. Tata i siostra chodzili regularnie do pracy, mama – na zakupy, a brat i ja

codziennie do szkoły. Ciocia Mania – żona Stryjka – w międzyczasie przy pomocy pozostałej rodziny szukała dla niego stałego ukrycia.

Wreszcie po trzech tygodniach, które wydawały się wiecznością, pewnej nocy Stryj pożegnał się z nami i zaopatrzony przez mamę w kanapki opuścił nasze mieszkanie. Zobaczyliśmy Go dopiero po wojnie, czyli po pięciu latach. Wtedy dowiedzieliśmy się, że ukrywał się w Borach Tucholskich, gdzie pomagał mu znajomy ksiądz.

A tymczasem wojna trwała nadal. Mijały dni, tygodnie, miesiące i lata. Wszystkie prawie jednakowo głodne, chłodne i straszne. Szczególnie dotkliwe były miesiące zimowe, bo w lecie urozmaicaliśmy sobie jadłospis zbierając w pobliskim lesie grzyby i jagody, a na łąkach – szczaw i miętę, zaś z naszego niedużego przydomowego ogródka – zieleninę. Poza tym w szopce na opał hodowaliśmy króliki, których mięsem wzbogaciliśmy nasze przydziały kartkowe.

W trzecim roku wojny siostra wyszła za mąż. Moim szwagrem został rodowity Kaszub, rybak z dziada pradziada. Od tego momentu jeśli chodzi o żywność znacznie nam się poprawiło. Szwagier co parę dni podrzucał nam dwa-trzy dorsze lub kilka flader, z których mama wyczarowywała wspaniałe potrawy.

Obraz moich wojennych wspomnień byłby niepełny, gdybym nie wspomniał o niemieckiej szkole i nasilających się od 1942 roku alianckich nalotach lotniczych. Bowiem dopiero splot wszystkich tych wątków tj. strachu, głodu, obaw o utratę życia i cichej nadziei, że mimo wszystko przeżyjemy – odzwierciedlał stan moich ówczesnych odczuć i nastrojów.

Do niemieckiej szkoły (bo innej w przyłączonej do Rzeszy Gdyni wtedy nie było) trafiłem już zimą 1940 roku. W lutym ukończyłem sześć lat i właśnie wtedy rozpoczął naukę mój rocznik. Byliśmy tym z mamą nieco zaskoczeni, bo za polskich czasów dzieci rozpoczynały edukację w siódmym roku życia.

Początkowe nauczanie prowadziła z nami Fraulein Koswig – panna po czterdziestce, która mnie wydawała się starsza od mojej mamy. Klasa w nowej szkole – wybudowanej tuż przed wojną w 1939 roku, ale uruchomionej już przez Niemców – była wypełniona po same brzegi. Było nas, pierwszoklasistów, około sześćdziesięcioro. Wszyscy byliśmy bardzo przestraszeni, więc mimo tłoku nikt nie odważył się nawet szepnąć.

Od pierwszej lekcji obowiązywał wyłącznie język niemiecki, który dla większości z nas był niezrozumiały. W ogóle w całym mieście należało mówić wyłącznie po niemiecku, bo w przeciwnym razie można było dostać po twarzy od szwedzących się wszędzie hitlerowców. Nowe otoczenie, obcy język i tłumy uczniów w różnym wieku sprawiały, że żyłem w ciągłym strachu. „Nasza” Fraulein była wyrozumiała i bardzo cierpliwa. Nigdy na nikogo nie nakrzyczała ani nie uderzyła. Niemieckiego uczyła nas za pomocą obrazków, rysunków, wierszyków i piosenek. Codziennie przyswajaliśmy sobie kilka słówek lub jedno-dwa zdania tekstu. Szło to powoli, ale konsekwentnie. Po dwóch latach rozumieliśmy prawie całkowicie „naszą” Fraulein, a i sami umieliśmy się porozumiewać prostymi zdaniami. Gorzej było z pisaniem. Jeśli chodzi o czytanie z elementarza, nazywanego po niemiecku Fibel – jakoś dukaliśmy. Na domiar złego w 1941 roku nastąpiła w całej Rzeszy, a więc i w Gdyni, zmiana pisowni. Odstąpiono od stosowanego dotychczas alfabetu gotyckiego na rzecz łacińskiego. W związku z tym musieliśmy się ponownie uczyć pisać i czytać, co w obcym dla nas języku nie było łatwe. Wielce pomocne okazały się szyfrowe tabliczki, którymi posługiwano się w pierwszej i drugiej klasie. Miały one tę zaletę, że wszelki zapis można było bardzo łatwo zmasać za pomocą gąbki lub ściereczki. Teraz – przy ponownej nauce pisania – stały się niezastąpione, bo od błędów aż się roilo! Ale brnęliśmy dalej, czekając na niedzielę lub na wizytę fotooperatora. Przybywał on do naszej szkoły mniej więcej raz na kwartał. Przywoził ze sobą siwe skrzynki – w jednej był aparat do wyświetlania niemych filmów, a w drugiej czarno-białe, wąskotaśmowe filmy z bajkami. W takim dniu całkowitemu rozchwianiu ulegały wszystkie plany lekcyjne. Jedną z klas przeznaczano na „salę kinową”, zaciemniano w niej okna, przestawiano i dostawiano ławki. Do tego „kina” schodziły kolejno poszczególne klasy – każda na swój seans. Obraz rzucano na odwróconą stronę mapy ściennej, która służyła jako ekran. Wyświetlano wyłącznie bajki – przynajmniej nam małym dzieciom. Poznałem wtedy baśnie braci Grimm i innych autorów, bo po kilka razy wyświetlano nam takie filmiki jak: „Kot w butach”, „Muzykanci z Bremy”, „O kiju samobiju”, „O dzielnym krawczyku” itp. Kinowe seanse to jedyne miłe chwile z niemieckiej szkoły, bo wszystko inne wspominam dziś jak zły sen. To najgorsze przyszło wraz z promocją do trzeciej klasy. Z dwóch osobnych dotychczasowych klas dla dziewczynek i chłopców utworzoną wspólną. Było mi to raczej obojętne, bo dziewczynki mnie w owym czasie nie interesowały. Gorsze było to, że lekcje prowadzili odtąd wyłącznie nauczyciele – mężczyźni. Sami wychowani w pruskim drylu, również nam – ośmioletnim chłopcom – ten dryl próbowali narzucić. W mojej pamięci do dziś pozostali dwaj z nich. Pierwszy, niejaki Tromke, uczył nas tabliczki mnożenia. Drugi nazywał się Stanitzky (prawdopodobnie Sztanicki, który zniemczył swoje nazwisko) i był naszym wychowawcą. Obaj stosowali wobec nas kaprałskie metody „wychowawcze”. Opierały się one na utrzymywaniu klasy w ciągłym strachu poprzez krzyk, wyzwiska oraz nieustanne bicie, szarpanie za włosy, uszy, ręce itp. Nauczyciele wymierzali razy leszczynowym kijem lub trzcinką. Bili po głowie, po łapach i po tyłku za

wszystko – za „bezczelny” uśmiech, za głupi uśmiech, za uśmiech, za pytanie, za niewłaściwą odpowiedź na pytanie, za zbyt powolną odpowiedź, za błędy ortograficzne, rachunkowe, niestaranne pismo, za kleks w zeszytcie (bo od trzeciej klasy pisaliśmy atramentem w zeszytach) za ośle uszy w zeszytcie lub książce, za śmieci pod ławką, za brudne – powalane atramentem ręce, za zbyt długie włosy, za brudną szyję, za, za, za...

Jak wspominałem pierwszym nauczycielem, mężczyzną, który się nami zajął w trzeciej klasie, był Herr Tromke. Był to dość niski, szczupły i nerwowy mężczyzna, który minuty nie usiedział za katedrą. Cały czas krążył między rzędami ławek, wymachiwał trzcinką, wrzeszczał i wykonywał jakieś gwałtowne ruchy głową. Wydawać by się mogło, że uwiera go kołnierzyk koszuli. Otóż człowiek ten uwijał się między ławkami, z czerwoną, gniewną twarzą i wskazywał ucznia, od którego oczekiwał odpowiedzi. My tymczasem wstrzymując oddech kuliliśmy się w sobie, w obawie przed uderzeniem trzcinką – gdzie popadnie! Tak wyglądały lekcje arytmetyki w wykonaniu Herr Tromke. Nic więc dziwnego że z westchnieniem ulgi przyjmowaliśmy głos dzwonka, który obwieszczał koniec tortur. Do przyszłej lekcji arytmetyki – za dzień lud dwa – mieliśmy względny spokój, bo pozostałe zajęcia prowadzone przez innych nauczycieli można było przeżyć. Żyliśmy zatem od arytmetyki do arytmetyki.

W następnej, czwartej klasie moim wychowawcą został Herr Stanycky Równocześnie przeniesiono nas do starej szkoły, w której uczono miejscową młodzież jeszcze w połowie ubiegłego stulecia. Tu skończyły się komfort i nowoczesność. W starych budynkach podłogi były z desek, zamiast kaloryferów przy ścianie kucal niezgrabny piec kaflowy a ubikacje bez wody mieściły się w oddzielnym budynku, który z wyglądu przypominał zwyczajną stajnię. W tej filii szkolnej, położonej tuż przy naszym potoku i otoczonej starymi lipami, rządził – i to dosłownie – Herr Stanycky. Był wysoki, kościsty i ostrzyżony na jeża. Często paradował w brunatnym mundurze SA-mana. Poza dyndającym u boku hitlerowskim kordzikiem uzbrojony był w leszczynowy kij, którym wymierzał uczniom swoją belferską „sprawiedliwość”. Zajęcia prowadzone przez Stanyckiego (a był on w starej szkole naszym jedynym nauczycielem) wyglądały dość dziwnie. Godziny lekcyjne były nierównej długości. Dotyczyło to również przerw, które zależały od kaprysów tego „nauczyciela”, bowiem p. Stanycky sam dzwonił na lekcje i na przerwy.

Zajęcia zaczynały się odśpiewaniem ludowej lub patriotycznej (niemieckiej lub pruskiej) piosenki. Zawsze śpiewaliśmy na stojąco, a Herr Stanycky dyrygował lub wybijał rytm swoim leszczynowym kijkiem. Odbywało się to z pełną powagą i należy przypuszczać, że zastępowało przedlekcyjne słowa modlitwy...

Następnie Stanycky uczył nas nowej pieśni na dzień następny lub przekazywał kolejną zwrotkę aktualnie śpiewanej. Tekst pisał żmudnie na tablicy, a my przepisywaliśmy go do zeszytów. Później wygrywał melodię posiłkując się swoimi starymi, odrapanymi skrzypcami. Po stwierdzeniu, że piosenka została przez nas dostatecznie opanowana ogłaszał „piss pause”, czyli krótką przerwę na siusianie. Po około pięciu minutach ręcznym dzwonkiem wzywał nas do klasy, do której musieliśmy wkraczać w szeregu. Teraz zaczynała się następna lekcja, np. arytmetyka. Herr Stanycky sprawdzał wyrywkowo kilka zadań domowych, wymierzał karę chłosty – co odbywało się przy tablicy – i wypisywał zadania domowe na dzień następny. Bywało, że przepytywał kilku uczniów. Jak stwierdziliśmy miało to na celu udowodnienie nam, że niewiele umiemy, no i oczywiście wymierzenie chłosty, co panu Stanyckiemu sprawiało prawdziwie sadystyczną satysfakcję. Pan Stanycky bił leszczynowym kijem w siedzenie ucznia, który musiał się położyć na krześle. W tym czasie cała klasa musiała głośno odliczać ilość razy. W ten sposób zmuszani byliśmy do uczestniczenia w egzekucji i stawaliśmy się niejako jej współuczestnikami. Na przerwie – tuż po jej ogłoszeniu – pędziliśmy do ubikacji. Tu ukarany spuszczał spodnie i wszyscy podziwialiśmy czerwono-sine smugi na jego tyłku. W ten sposób kończyło się szkolenie teoretyczne.

Po przerwie były zajęcia praktyczne, czyli „gartenbau” tzn. uprawa ogrodu pana Stanyckiego i pana Schumannna – kierownika szkoły. Rozpocynały się od przydziału narzędzi, co było równoznaczne z podziałem pracy. Kopaliśmy grządki, plewiliśmy chwasty, wygrabialiśmy kamienie i liście. Inny zespół – uzbrojony we wiadra, taczki, miotły i łopaty – maszerował na główną ulicę przecinającą nasze osiedle, po której paradowały pędzone na pastwiska krowy i poruszały się konne furmanki. Odchody tych zwierząt były starannie zamiatane przez uczniów z mojej klasy i dostarczane do ogrodowego śmietniska, gdzie mieszano je z opadłymi jesienią liśćmi i przysypywano ziemią. Tak fermentowały, aby na wiosnę zasilić belferskie grządki w naturalny nawóz. Zwykle zajęcia te trwały dwie godziny, ale nie było to żadną regułą. Wiosną lub jesienią, gdy pracy w ogrodzie było więcej, Herr Stanycky odpowiednio wydłużał „gartenbau”.

Jedne takie zajęcia zapamiętałem szczególnie dobrze. Była jesień 1943 roku – słoneczne, sobotnie południe. Już od prawie dwóch godzin porządkowaliśmy grządki ogrodowe, wygrabiając opadłe liście i usuwając chwasty. Korciły nas gruszki zwisające z gałęzi. Ale zerwanie choćby jednej było niemożliwe, bo stał nad nami Stanycky i bacznie nas obserwował. Niebawem zajęcia powinny się skończyć, bo ustalony zakres prac był już prawie wykonany. I wtedy... wysoko nad naszymi głowami zawarczał silnik pojedynczego samolotu. Zerknęliśmy kilka razy w niebo. Maszyna lśniła w jesiennym słońcu niczym

niewielki komar, zataczając kręgi nad Gdynią. Dopiero wówczas została zidentyfikowana. Okazało się, że był to samolot aliancki, bo nagle zawyły syreny alarmowe. Stanyckiego raptem przestał interesować „grantenbau” i dosłownie rzucił się do ucieczki wykrzykując jakieś nieskoordynowane polecenia w naszą stronę. My natomiast porzuciliśmy łopaty i grabie i – odczekawszy chwilę aż po nauczycielu nie będzie śladu – zaatakowaliśmy drzewa owocowe! Samolot nadal warczał hen wysoko na niebie, a my opychaliśmy się dojrzałymi gruszkami, soczystymi węgierkami i chrupiącymi jabłkami.

Minął jakiś czas. Samolot wciąż krążył nad miastem. Jego wysokość była tak znaczna, że niemiecka artyleria plot. nie próbowała nawet otworzyć ognia. Nie pojawiły się również żadne myśliwce, które podjęłyby walkę. „Komar” jeszcze kilka razy mignął w słońcu i spokojnie wziął kurs na zachód. A my z wdzięcznością żegnaliśmy tego podniebnego gościa, dzięki któremu spotkały nas aż dwie przyjemności – widok uciekającego w popłochu hitlerowca Stanyckiego i owocowa uczta – jedyna w czasie całej niemieckiej okupacji.

To niewinne zdarzenie dało początek serii prawdziwych nalotów, które regularnie przeprowadzały na Gdynię latające fortece. Wcześniej naloty odbywały się głównie nocą. Od tego czasu były zarówno nocne jak i dzienne. Wzrosła również ich groza i liczba ofiar – zarówno wśród ludności miejscowej jak i Niemców. Takie chwile spędzaliśmy zwykle w naszej piwnicy, wsłuchując się w detonacje bomb, szczekanie niemieckich działek i karabinów obrony przeciwlotniczej oraz w warkot dziesiątków ciężkich maszyn. Samoloty leciały zwykle falami – na centrum miasta, port, stocznię oraz nieprzyjacielskie statki i okręty.

Szczególną groźbę budziły naloty nocne. Wyrwani ze snu, pędziliśmy do naszego schronu z podręcznymi tobołkami. Ciemność, ryk syren, szperające po niebie reflektory, warkot, wybuchy bomb i jazgot broni plot. – wszystko to zlewało się w jedną całość, tworząc niezapomniane i budzące trwogę widowisko. Niekiedy w czasie tych nalotów zrzucano z samolotów świetlne flary, które opadając powoli na spadochronach rozjaśniały okolicę dziwnym, fosforyzującym światłem. Rzadko jednak oglądaliśmy takie sceny, drżąc w naszych ukryciach i próbując głośną modlitwą zagłuszyć przeraźliwy strach!

A wracając do moich spraw szkolnych, pragnąłbym wspomnieć jeszcze o dwóch epizodach, które utknęły mi w pamięci. Pierwszy z nich dotyczy Schulleitera Schumanna, drugi zaś – małego sabotażu, bo tak chyba działania nasze należałoby zaklasyfikować.

Późną jesienią 1943 roku wróciliśmy ponownie całą klasą do nowego budynku szkoły. Podyktowane było to chyba dwoma czynnikami: po pierwsze prace w ogródku zostały zakończone, a po drugie – w starej szkole trzeba by palić w piecach, co hitlerowcom się nie kalkuloowało. Wtłoczono więc nas do gmachu głównego, a tu obowiązywały szczególne rygory. Jednym z nich był obowiązek przebywania w budynku z odkrytą głową. W holu głównym; na I piętrze, wisiał bowiem okazały, kolorowy portret Hitlera w mundurze S.A. W tej sytuacji paradowanie w czapce na głowie hitlerowcy poczytywali jako obrazę jego wizerunku. O zakazie tym całkiem zapomniałem. Wnet miał mi o nim przypomnieć sam Schulleiter. A było to tak...

Mama zrobiła mi z resztek kolorowej wełny wspaniałą czapkę. Taką z pomponem, ciepłą, bo od spodu podszytą dodatkowo barwną flanelą. Byłem z niej bardzo dumny, bo zrobiła ją moja mama, a poza tym była najpiękniejsza w całej klasie. Nosilem ją do szkoły, do kościoła i na sanki. We wspomnianym dniu – a był to grudzień albo już styczeń '44 roku – na dworze panowała zamięć śnieżna. Nie było widać świata, bo mroźny wiatr wiejący od morza pędził prawie poziomo setki tysięcy białych płatków. Ze szkoły wypuścili nas nieco wcześniej. Zadowolony z tego faktu nacisnąłem na głowę wspaniałą czapkę i pędziłem po schodach ku wyjściu. Nagle, jak spod ziemi, wyrósł przede mną Herr Schulleiter i ryknął – Mütze ab! Nim wykonałem to polecenie otrzymałem dwa potężne policzki, które spowodowały, że moje nakrycie głowy spadło na podłogę! Zanim wytarłem zakrwawiony nos i schyliłem się po czapkę, Herr Schulleiter pędził już po schodach krzycząc w moją stronę – Du verfluchter Kaschube! Byłem oszołomiony i długo nie mogłem się uspokoić. W domu wszystko ze szczegółami opowiedziałem mamie. Ukojony i nieco uspokojony wysłuchałem jej uwag i porad, aby hitlerowcom nie wchodzić w drogę. A na moje zwierzenia, że Schumann nazwał mnie Kaszubem mama powiedziała coś, co mnie zupełnie przekonało – nie jesteś Kaszubem, lecz Polakiem. A Kaszubi to również Polacy i tego nie zmienia żaden Schumann.

Ten incydent z Schulleitrem uświadomił mi naocznie wrogi stosunek hitlerowców do wszystkiego co polskie – w tym również do dzieci polskich. Zresztą nasz stosunek do Niemców był identyczny. Większość z nas miała w swoich rodzinach po kilka ofiar śmiertelnych i bagaż krzywd, których nikt by nie zliczył.

Do szkoły chodziliśmy niechętnie. Robiliśmy wszystko, aby niemieckiego nauczyciela oszukać, byle przetrwać. I wtedy, a było to wczesną wiosną 1944 roku, któryś z moich kolegów – chyba Stefan lub Staszek Bemowski – wymyślił wspaniały sposób unikania niemieckich lekcji, a nawet szkolenia Niemcom. Pomysł, jak wszystkie genialne pomysły, był prosty, a skuteczny. Otóż przy bocznicy kolejowej wiodącej z Gdyni przez Rumie, łukiem do portu na Oksywiu, urządzili hitlerowcy składowisko złomu. Tu gromadzono stare żelastwo z północnych rejonów miasta, aby je sukcesywnie

ładować na wagony i wywozić do hut. Działanie nasze polegało na kilkakrotnym obracaniu tym złomem. Gdy tylko zbliżało się dyktando z języka niemieckiego lub trudna lekcja z arytmetyki, któryś z naszej kilkusobowej paczki zgłaszał, że znalazł znaczną ilość złomu. Belfer kierując się patriotyzmem i miłością do Fuhrera zwalniał całą naszą grupę z zajęć, a my z rozległego i słabo strzeżonego złomowiska na Chylońskich Łajkach przynosiliśmy do szkoły dość okazałe fragmenty metalowych łóżek, połamanych osi itp. Tak mijał kolejny dzień, a sterta złomu w rogu boiska rosła z tygodnia na tydzień. Po pewnym czasie miejscowi wozacy wywozili złom ponownie na Chylońskie Łąki, a my własnymi rękami znów targaliśmy go na szkolne boisko.

Wczesną jesienią 1944 roku Niemcy zawiesili zajęcia lekcyjne, ponieważ pomieszczenia szkoły potrzebne były uchodźcom z Prus Wschodnich i z Żuław. Teraz z kumplami chodziliśmy czasami by popatrzeć na uciekinierów. Z terenu szkoły zniknęli gdzieś nasi dręczyciele: Herr Tromke, Stanycky i Schumann. Czy wcielono ich do Volkstrumu czy do Wehrmachtu? A może uciekli na zachód do Vaterlandu? Bo nocami słyhać było już huk rosyjskich armat – to zbliżał się front i koniec naszej wojennej udręki.